Dialogi z Tomaszem

Andrzeja oswajanie śmierci

(Tekst ukazał się w gazecie „Z bliska”.)

Andrzej Sulima-Suryn był poetą, przez niektórych nazywanym – wędrownym. Był także erudytą, filozofem, trochę – jak na poetę przystało - lekkoduchem i kobieciarzem. Przez kilka lat uczestniczył w działaniach Gołdapskiej Grupy Twórczej „Dom Marka”. Parę lat temu odszedł przedwcześnie, bo na dalsze wędrowanie nie pozwoliła mu nieuleczalna choroba, a może... obowiązki, które powierzono mu w innym świecie.

Odszedł przedwcześnie, pozostawiając po sobie dwa tomiki wierszy i mnóstwo poetyckich zapisków. Wśród nich prawdziwe cudeńka, zwłaszcza te, które próbują połączyć postawę buddysty z osobowością człowieka zmysłowego, człowieka z rozbuchaną wyobraźnią, osoby poddającej się dosyć silnym namiętnościom, mimo na ogół wewnętrznego spokoju. Niedawno jego duchowość próbował zobrazować znany teatr „Węgajty”.

Andrzej odchodził, analizując siebie, swoją fizyczność i marność. Jednak raczej nie na zasadzie vanitas. On do końca pragnął znaleźć filozoficzne uzasadnienie dla śmierci i robił to nierzadko przy pomocy subtelnych poetyckich refleksji, z domieszką autoironii. A to już heroizm.

Przed kilkoma tygodniami ukazała się książka Sulimy „Dialogi z Tomaszem”. Są to te właśnie przedśmiertne zapiski zebrane przez Wacława Sobaszka, współtwórcę teatru „Wegajty”. Tytuł nawiązuje do autora gnostyckiej tzw. „Piątej Ewangelii”, której rękopis znaleziono w 1945 roku w Nag Hammadi.

Los chciał, żebym to ja spisywał z kaset te słowa, nagrane niewyraźnie, z trudem i wolno wymawiane. Musiałem wysłuchiwać dziesiątki razy tych samych fragmentów i nieraz miałem wrażenie, że choroba była w tym przypadku czymś więcej niż tylko pretekstem lub przedmiotem opisu – pisze we wstępie do książki Wacław Sobaszek.

Zapiski te mimo dosyć różnorodnej formy graficznej, nierzadko nawiązujące do haiku, dialogów, aforyzmów, prozy i prozy poetyckiej, stanowią duchową jednię Na pewno jest to swoisty monolog wewnętrzny człowieka, który będąc poddawanym ciężkiej próbie traktuje myślenie jako broń istotną. Mimo to wyraźnie daje się tu odczuć różne natężenie sinusoidy bólu. Zaś wrodzona pogoda ducha zmierza się tu z lękiem przed nieznanym. Już prawie na początku Andrzej mówi: *Cierpię, mimo że nie chcę. Jestem zmęczony, mam dosyć tego tunelu. O gdybyż można było ze swoim duchem rozmawiać tak jak z tobą. Ale on jest światłem, albo bólem. Zachorowałem, bo nie kochałem. A więc nie żyłem, imitowałem życie. Aż duch pewnego dnia, nader dotkliwie powiedział: nie! Dość! Jesteś kimś innym, szkoda cię na plagiat. I tak się zaczęło. Choroba jak drabina do siebie, a wszystko po drodze jak nieustająca lekcja. Najpierw trzeba było oswoić i utulić lęk. To potężny destruktor. Nigdy nie odwracaj oczu. Patrz nie oceniając, z taką miłością, na jaką cię stać. A stać cię na coraz więcej.* (...)

Skąd u niego tak surowa samoocena, przecież Suryna znałem i od tej strony, że często kierowały nim uczucia intensywne. Na pewno kochał, na pewno był zdolny do miłości, do namiętności. Sam byłem świadkiem jego miłosnych dramatów. Może stwierdzenie, że nie kochał, jest tylko kokietowaniem nieznanej (być może nieznanej tylko wtedy, przed odejściem) przyszłości, która nie wiadomo, czy stanie się ulgą, czy czeluścią. Przecież w chwili zapisywania i nagrywania „Dialogów” oddzielenie się duszy od ciała jeszcze pozostaje dla niego marzeniem, jeszcze nie jest pewnością: *O jednym trzeba pamiętać, że z każdej drabiny się spada. Chwila nieuwagi, cofnięcie się w stare i cześć, sam siebie bolisz. Dla mnie wielką sztuką jest dogadywanie się z własnym ciałem. To jest dopiero kosmos. Oto pojazd dharmy, ubranko doczesne, superczuły lokator. W miarę doskonalenia rośnie obszar i głębokość wzajemności między duszą a ciałem.*

Nie ukrywam, że wcześniejsza książkowa twórczość Suryna nie wywierała na mnie większego wrażenia. Może dlatego, że miałem wtedy do czynienia z nim samym i z jego sposobem życia. A jego życie było dla mnie bardziej poetyckie niż jego książki - zaryzykuję stwierdzenie, że, bardziej niż jego książki, było bliższe kwintesencji poezji, dotyczy to także jego listów opatrzonych najczęściej koronkowym dowcipem z pogranicza absurdu, zdaniami w rodzaju – „Kat a strofa". Na kilka miesięcy przed śmiercią prosił mnie, bym mu przysłał kilka jego własnych tomików wierszy, w liście tym znalazł się charakterystyczny zwrot: *Jeśli nie przyślesz to wpier..., bom przytył i nabrał sił.*

Toteż kiedy zacząłem czytać „Dialogi z Tomaszem" zrazu uległem zaskoczeniu, potem zauroczeniu. Andrzeja oswajanie śmierci odbywa się tu bowiem w sposób wyjątkowy. Jak wspomniałem – heroiczny. Na dodatek pewne użyte przez niego sformułowania wywołują śmiech. Choć czasem śmiech przez łzy, jak choćby w tym dialogu:

- Tomaszu, coś mnie więzi.

- Więzi cię wymyślone ty.

- No, jak na wymyślone całkiem nieźle napierdala.

- I owszem, bo oddałeś mu energię.

- No to jedźmy.

- Jedźmy.

Jak więc określić klimat „Dialogów z Tomaszem"? Czy jest to smutek, czy melancholia, czy też medytacja? Myślę, że jest to smutek. Smutek i lęk. Tylko jakieś inne – niepowtarzalne, niebywałe, może buddyjskie, może taoistyczne i chyba z odrobiną nadziei, której promyk, zdaje się, można dostrzec na końcu tej książki:

Wpadłem na tę salę i uderzyła mnie kartka przybita pinezką na drzwiach:

- Wszystkie stworzenia są czystym nic - Magister Eckhart.

- A pan co tu szuka - zagadnął mnie woźny.

- Siebie – odpowiedziałem.

- A tego to pan tu nie znajdzie, to piętro wyżej, w lustrzanej.

- Dzięki.

I pobiegłem. Korytarz czyściutki, prościutki, ściany gotowe na wszystko, jest! Sala lustrzana. Wszedłem ostrożnie, ciemno. Kontakt po prawej stronie: pstryk! I krzyk! – mój własny. Tysiące Andrzejów gapiło się na mnie zewsząd. W jakiejś chwili mówię: Cześć!

- Cześć – słyszę.

- No no – pomyślałem. – Że widzę, to widzę, ale że słychać, to dopiero!

I się zaczęło.

- Hej, a pamiętasz – zagadnął Jędrek z góry – hej tutaj – zamachał inny. Nie mogłem nadążyć, a każdy chciał rozmawiać. Jedni pytali, inni zżynali, kilku ledwie co milczało lub zgoła na mnie nie zwracało uwagi.

- Hej, koledzy -, krzyknąłem – bo dostanę polifrenii! Po kolei proszę.

Nie będę opisywał, co żem się wstydu najadł. Tłumaczyłem, jak mogłem, siebie przed sobą. Próżna robota, lustra nie kłamały, ja sam natomiast usiłowałem zagadnąć te Andrzeje, które nie zwracały na mnie uwagi. Po chwili jeden z nich rzekł: - My jesteśmy przyszły Andrzej.

Więc zapytałem:

- To pewnie wiecie, jak potoczą się moje losy, a może, jak przed nimi się uchronić?

- Wiemy, to nieuchronne. Natomiast już teraz możesz zmienić swoje myślenie, to zmieni wszystko.

Andrzej Sulima-Suryn: „Dialogi z Tomaszem", wydawca Olsztyński Oddział Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, Olsztyn 2003, s.64.